



Listopad 1894.

Uczcie dzieci czytać i pisać po polsku!

Rocznik IX.

PRAWDZIWY PRZYJACIEL.

Stwórca wlał prawo w serce człowieka,
Ze towarzystwa szukamy —
Smutni, tęsknimy, gdyśmy zdaleka
Od osób, które kochamy.

Lecz drogi bracie, ostrożność radzi
Jeśli nie serce — to głowa:
„Z pozorów nie sądz,” bo pozor zdradzi —
Uczynki świadczą, nie mowa.

Gdy ci kto wiele słodkich słów prawi,
To cię za serce porywa —
Ty słówka cenisz, a on się bawi...
Nieraz się z ciebie wyśmiewa.

Spojrzyj się śmiało takiemu w oczy,
Daj poznać, że cię nie złudzi —
On to zrozumie — na bok odskoczy;
Unikaj podobnych ludzi!

Jeśli bogatym jesteś, mój bracie,
Przyjaciół zawsze masz wiele —
Każdy ci sprzyja, każdy kocha cię,
Z miłością u nóg się ściele.

Nie wierzą temu! to zgrają ludzi,
Co chcą wyzyskać twe mienie —
W nich się ni zapal szlachetny budzi,
Ni miłość, dobroć — sumienie!

Kto się zaklina — szumnymi słowy
Przyjaźń i miłość objawia —
To nie ze serca, to idzie z głowy...
Serce na boku zostawia.

Odejdź od niego — bo słowa węża
Mile brzmią często dla ucha —
Jeśliś się zajął — on już zwycięża;
Szczęśliwy, kto go nie słucha.

Chrystusa słowa uczyć powinny:
„Z uczynków ludzi poznacie” —
A kto ma sposób myślenia inny,
Powie: przepadłeś, mój bracie!

Kto w twojej rozpaczy rady ci doda,
W smutku cię szczerze pocieszy —
Kto ci w nieszczęściu dłoń swoją poda,
Chętnie z pomocą pospieszy...

Kto ci wierności zawsze dochowa,
Broni cię słowem i czyny —
Czyje otwarte myśli i słowa...
To twój przyjaciel jedyny!

Oddaj mu serce — on cię nie zdradzi,
Z nim żyj i szukaj zabawy —
Ten cię do złego nie poprowadzi,
Bo to charakter jest prawy.

Franciszek Marzec.

Dziesięcioro przykazań wychowania katolickiego.

(Ciąg dalszy.)

Początki nauki i religii.

Powiada ów Ruso osławiony, któregośmy zasady wychowawcze potępili, „że nie trzeba człowiekowi przed ósmym rokiem życia nic o Bogu i religii wspominać; a nawet wtenczas czyni to się raczej za wcześnie, niż za późno.” Cóż sądzić o takim głupstwie? Powiadają ludzie, że „głupich nie sieją, oni sami się rodzą.”

Posłuchajmy, co mówi świątły biskup ś. naszego Kościoła, św. Jan Złotousty: „Wszelka złość dzieci, powiada, z naszego niedbalstwa wypływa, ponieważśmy

je od samej młodości do bojaźni Boga i pobożności nie zachęcali.“ Pan Bóg sam zresztą na ojca i matkę włożył obowiązek, ażeby swe dzieci od samego zaraz dzieciństwa w odwiecznych prawdach zbawienia utwierdzali.

Chociażby król Salomon, pisząc swą książkę „Przypowieści“, nie był Duchem św. natchniony, toby samo już napomnienie, jakie tamże w rozdziale 29 wierszu 17 rodzicom daje: „Utwierdź syna twego“ dla jego wielkiej mądrości i doświadczenia, załugiwało na uwagę. Ekkleziastyk tymczasem powtarza to przypomnienie w jednym jedynym rozdziale ni mniej ni więcej jak trzy razy krótko po sobie, na dowód, jak wielkie znaczenie do wypełnienia tych powinności rodzicielskich przywiązuje. Równocześnie oznacza także termin, kiedy tę domową naukę religii rozpocząć trzeba, słowy: „Masz syny? Ćwicz je, a nachylaj ich od dzieciństwa“ co znaczy: dopóki małemi są jeszcze chłopiętami. Obaj światli mężowie natchnieni duchem Bożym żądają, ażeby nauką małych dzieci nie opieszale i rzadko kiedy, ale pilnie i wytrwale się zajmować. „Kto miłuje syna swego, ćwiczy go ustawicznie“ (Przyp. 13. 24) i „pracuje koło niego“ (Ekl. 30, 13) I tego sposobu wychowania sami z piątej księgi Mojżesza się nauczyli, gdzie P. Bóg ludowi swemu wybranemu tak rozkazuje: „I będą te słowa, które ja dziś przykazuję tobie, w sercu twojem: i będziesz je powiadał synom twoim, będziesz w nich rozmyślał siedząc w domu twoim i idąc w drodze, śpiąc i wstając.“ (I. Moj. 6, 6. 7.) Pismo św. wymienia nareszcie i korzyści, jakie wypływają z wczesnej i pilnej nauki mł. dzieły w prawdach wiary, jak niemniej szkodę, która z jej zaniedbania powstaje. „Ćwicz syna twego, a ochłodzi cię i da kochanie duszy twojej. Kto ćwiczy syna swego, będzie chwalon z niego, a między domowymi będzie się z niego chlubił, kto naucza syna swego, czyni zażdręć nieprzyjacielowi, a między przyjaciółmi będzie się z niego chełpił.“ (Przyp. 29. 17. Ekkles. 30. 2. 3.)

I nie przebrzmiały daremnie te słowa Pańskie; widzimy bowiem jak wszyscy sprawiedliwi rodzice Starego Zakonu tę wolę Jego wykonywali. „I był mąż mieszkający w Babilonie, opowiada prorok Daniel (13. 8.) a imię Jego Joakim. I pojął żonę imieniem Zuzannę, córkę Helcjasza, bardzo piękną i bojącą się Boga. Bo rodzice jej będąc sprawiedliwi, wyćwiczyli córkę swą według zakonu Mojżeszowego.“ To samo opowiada nam Pismo św. o Tobiaszu, który syna tegoż imienia „od dzieciństwa nauczył P. Boga się bać i wstrzymywać się od wszelkiego grzechu.“ (Tob. 1. 10.) W godzinę zaś śmierci przywołał syna swego Tobiasza i siedmiu młodzieńców, synów jego a swoich wnuków i rzekł: „Służcie Panu w prawdzie, a starajcie się, żebyście to uczynili, co mu się podoba; a synom waszym przykazacie, aby czynili sprawiedliwość i jałmużny, żeby pamiętali na Boga i błogosławili go na każdy czas w prawdzie i ze wszystkiej siły swojej.“ (Tob. 14. 10. 11.) I zastósowali się nauki do rozkazu dziadka swego, bo rozdzielił ten kończy się tak: „A wszystek ród jego i wszystko pokolenie jego trwało w świętem obcowaniu, tak iż byli przyjemni tak Bogu jak ludziom i wszystkim mieszkającym na ziemi.“ Patrzaj, miły bracie, to była naturalna nagroda za to, że w rodzinie tej przestrzegano słów Ekkleziastyka: „Jeśli masz syny i córki, ćwiczy je od samego dzieciństwa.“ Przecież, ażeby zapobiedz wszelkim wybiegom twoim, jakoby owe prawa i przepisy do samych tylko żydów się odnosiły, posłuchaj, co św.

Paweł pisze do Efezów: „A wy ojcowie, wychowujcie syny wasze w grozie i karności.“ (Efez. 6., 4.) Za czasów św. Grzegorza z Nazjansu taki był zwyczaj, że matki podczas wywodu niemowlątkom swoim księgę ewangelii kładły w drobne rączki na znak niejako, że pragną te od Boga im powierzane dusze z całością i treścią ewangelii św. zapoznać i w niej je utwierdzić. Ten obowiązek i ty, matko chrześcijańska, mogłabyś sobie przypomnieć. I ty także dzieciom masz dać świadectwo o Chrystusie, tej światłości żywota; nie kto inny, tylko ty masz te dzieci twoje ćwiczyć w nauce i przykazaniu; przez Ciebie, nie przez kapłana dopiero mają się one od samego dzieciństwa zapoznać z najistotniejszymi prawdami wiary św., mają się nauczyć, jak kochać Jezusa.

Ze taki zwyczaj istniał pomiędzy chrześcianami najpierwszych zaraz wieków, przekonać się łatwo możesz z pism Ojców św. Kościoła. „Jak tylko dzieci przyszły do rozumu, opowiada św. Jan Złotousty (umarł r. 407), utwierdzali je rodzice w apostołskim wyznaniu wiary i wpajali w nie modlitwy, śpiewy i zwyczaj, używane zwykle przy nabożeństwie.“

Nie dość na tem! Święty i w. mowny ów Ojciec kościoła tak się do matek odzywa: „Uczcie, matki, dzieci wasze ręką znaczyć czoło; zanim same to uczynić będą mogły, własną ręką wyciśnijcie krzyż na czołach ich.“ Zaś św. Hieronim (umarł r. 420) tak pisze do pewnej wdowy nazwiskiem Lety: „Wystawiam sobie, że nie może być większej radości dla matki, jak kiedy jej dziecię drzącym i słabym jeszcze głosem słodkie imię Jezus wymawia.“ Św. Augustyn (umarł 430) zaś sam o sobie pisze: „Już jako małego chłopczykę uczyła mnie moja matka Monika o życiu wiecznem, które nam Pan i Bóg nasz przez pokorne swe przyjście na świat wyjednał.“

Dziś tymczasem nie zbywa na „oświeconych“ ojcach i matkach, których się dzieci nawet, kiedy się po raz pierwszy w szkole pojawiają, przeżegnać i „Ojciec nasz“ dobrze odmówić nie potrafią. Zgromisz ich za taką niedbałość, to ci odpowiedzą: „Ach, toć to biedne dziecko tego jeszcze nie rozumie.“

Przewrotna to i bezkoźna zasada, że „nie trzeba dzieci uczyć, czego jeszcze nie rozumieją.“ Toć do istoty duszy ludzkiej nie sam tylko rozum należy, ale także wola i uczucie. Te przymioty duszy, początkowo uśpione, powoli się tylko rozwijają; najpierw budzi się uczucie a z niem prawie równocześnie wola, w samym końcu dopiero rozum. Dziecko czuje i pragnie niejednej rzeczy, choć jej jeszcze nie pojmuje; czuje miłość ku rodzicom i chce jeść, choć nie wie, z kąd się ta miłość bierze i do czego ten pokarm służy. Ztąd też uczucie i wola w dziecku najpierw pielęgnować trzeba, zanim się do kształcenia rozumu zabierzesz. Wyrabiasz zaś uczucie i wola przyzwyczajaniem dziecka do dobrego a nie pouczeniem.

Przyzwyczajaj więc najpierw dziecko do dobrego, a później, kiedy pojęcie się jego dostatecznie rozwinię, poucz je o tem, co dotyczyć ma ze zwyczaju czyniło. Otóż to jedynie rozsądny sposób wychowania! Pójdiesz inną drogą, to znaczy, pozostawisz uczucie i wola sobie samym, nie pokierujesz niemi ku dobremu, natenczas zmysłowość weźmie górę i pociągnie je ku złemu, uczucia dobre przytłumisz, a namiętności się zakorzenia. Jeżeli później nauką i upomnieniem błąd popełniony będziesz chciał naprawić, bądź przekonany, że wszelkie twoje zabiegi będą daremne. Takie dzieci „chybione“, jak powiada Ekkleziastyk, „nie uwierzą

naukom twoim, a serce ich zatwardzieje". Otóż to nieszczęsny skutek owej oświeconej mądrości wychowawczej, która uczy, że nie trzeba dziecka do niczego przyzwyczajać, czego nie rozumie!

Więcej jeszcze powiem! Sposób ten nie tylko wielce szkodliwy, ale że ci już tak po grubiańsku powiem, wręcz głupi! Do czego byśmy bowiem doszli, gdybyśmy się w życiu potocznie tą fałszywą zasadą we wszystkim chcieli rządzić? Jeśli dziecko nóż do ręki bierze, i nim w nieświadomości swojej koło gardła lub ócz poczyną machać, dla czegoż ty mu go zaraz wydzierasz z ręki, choć na całe gardło krzyczy i wrzeszczy, a nie zostawiasz mu noża w ręku, dopóki nie zrozumie, że się nożem śmiertelnie zranić może? Dziecko nie rozumie wcale tego, że pokarmy dostają się do żołądka, że tam się trawia i zmieniają w krew, soki i ciało i przyczyniają się tym sposobem do utrzymania mizernego żywota. Dziecko, sam to wiesz, najmniejszego pojęcia o tem wszystkim nie ma! Gdybyś mu przeto według powyższej zasady pokarmu nie podawał, dopóki tego wszystkiego nie zrozumie, nie skatłabyś go tym sposobem na śmierć głodową? Dla czegożby więc w rzeczach duchowych i religijnych miało być inaczej? Jeżeli więc w głowie choć tylko odrobinę masz rozumu, to pojmiesz, że to bardzo lichy wybieg: „dzieci nie trzeba uczyć, czego nie rozumieją“; przeciwnie od samego dzieciństwa przynaglaj je do dobrego, lubo nie mają o tem, co czynią, jasnego pojęcia.

Ty powiesz może: „to mechaniczna tylko dresura. tak się ze zwierzętami ale nie z ludźmi postępuje“! Powoli, mój bracie! Przyznać ci muszę, żeś mi bardzo uczony zarzut uczynił! Ja ci zaś na to odpowiadam, że od wielkiej mądrości rozum się przesilił, a że naszym nowoczesnym uczonym nieraz się rozumy przewracają, o tem pewnie nie wątpisz! Przedewszystkiem wiesz też ty, co to znaczy „mechanicznie“? To tyle co bez ducha, bez myśli, na podobę maszyny! Taką dresurę małych dzieci tylko wtedy mógłbyś nazwać mechaniczną, gdyby dusza dziecięcia przytem nie współdziałała; gdyby przytem nie sobie dzieci nie myślały i nie czuły; tak jednakże nie jest, jeśli je do jakiegobądź ćwiczenia religijnego przyzwyczajamy. Dzieci nie myślą i nie czują jeszcze wprawdzie wszystkiego, jak dorośli, ale dusza ich jest przytem już czynną, a nie bezmyślną.

Weźmy na ten przykład wyuczenie dziecka zwyczajnych modlitw, jakie każdy chrześcianin odmawia, a przynajmniej odmawiać powinien. Przyznaję, że dziecko nie rozumie znaczenia, myśli pojedynczych słów i zdań, które mu każesz powtarzać, ale tem samem nie wolno twierdzić, że dusza dziecka nie jest przytem czynna, kiedy dziecko modlitewkę odmawia. Przedewszystkiem podnosi ono swą myśl ku Bogu! Choć nie ma jeszcze jasnego o Bogu pojęcia, to jednak czuje, że jest jakaś wyższa istota; o niej myśli i sercem ku niej się wznosi, i zład też modlitwa dziecka w obec Boga więcej warta, aniżeli modlitwa niejednego, Bóg wie, jak uczonego, który każde pojedyncze słowo bierze na wagę, ale przy tem jest zimny i cbojętny. Dziecko dalej wie, że się modli; to znaczy: że Boga o coś prosi, chociaż nie pojmuje, o co się modli, t. j. czego od niego żąda. Ze „prosić“, to samo znaczy, co: „brak mi czegoś, czego sam sobie dać nie mogę, może kto inny mi tego udzielił“ to ono rozumie doskonale; domaga się przecie ustawicznie od ciebie, już to, żebyś je nakarmił, już to, żebyś je wzięła na rękę

lub złożyła do kołyski, uśmierzyła ból, jaki mu dolega i t. p., możesz mu więc łatwo wytłómaczyć, że od P. Boga, o którego bytności uczucie je przekonywa, pochodzi wszelkie dobro; od Niego więc trzeba wszystkiego żądać, czego człowiekowi potrzeba. Kiedy odmawia swemi usty niewinnemi „Ojcie nasz“ nie rozumie, co prawda, tego, że pragnie od Boga uwielbienia Imienia Jego św., dostąpienia żywota wiecznego, odpuszczenia grzechów, łaski do godnego spełnienia i wykonywania przykazań Bożych; wie atoli, że Boga prosi o wszystko, czego potrzebuje. I to na początek wystarczy; później, skoro przyjdzie do rozumu, dowie się reszty.

Jeśli ci więc sumienie pod tym względem wyrzuca, ojcze i matko, zaniedbanie obowiązków twoich, to, tylko zawczasu uderz się w piersi i popraw się; ucz dzieci, zanim je pošlesz do szkoły, znaku krzyża św., naucz je Oj ze nasz, Zdrowaś i Wierzę — nie zapomnij też o Dziesięciro Bożego Przykazania, i o pięciu Przykazaniach kościelnych; aby się zaś z tem wszystkim zawczasu uwinąć, zacznij jak tylko dziecko mówić pocznie; jeżeli dziecko umie wymówić: „mama daj“ — „tata weź“ — nie bój się: ono również za tobą powtórzy: „W Imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

STARE ZAMCZYSKO.

I. Rodzina węglarza.

Już to temu bardzo dawne czasy, kiedy żył na świecie poczciwy węglarz Jaksa. Domek jego stał na małym wzgórzu wystającym z pięknej doliny, przerzniętej małym, srebrzystym strumykiem, który jednakże czasami wzbierał straszliwie i wtedy okryty pianą z hukiem toczył swe wody, rozbijając skały i wyrwijając drzewa z korzeniami. W koło doliny była za to głucha puszcza; lesiste wzgórza otaczały ją w okrąg a po nad wierzchołkami sosien i jodeł sterczały skaliste czubki gór niebotycznych. Tu w tej dolinie nie widział nikt innych śladów bytności ludzkiej, jak ową chatę węglarza, kilka stopni w skale wyciętych i ściętkę, która przez mostek ze strumyku do chatki prowadziła.

W niejakiem oddaleniu jednakże znajdowało się miejsce, z kądem dawniej odtamywano kamienie na budowy. Miejsce to miły i malowniczy przedstawiało widok, gdyż różnokolorowe żyły skał nader cudnie przezierwały przez ciemną zieleni krzewiny. Nieco dalej na górze wznosiła się na pół rozpadła wieża wraz ze zwaliskami murów jakiegoś starego zamczyska. Powiadano, że tam przęd wielu, wielu lity mieszkał jakiś łupieżca.

Jaksa ze swą żoną Jadwigą i z dwiema dziećmi, Frankiem i Teklusią, mieszkał w tem ustroniu. Bywało, że nawet przez kilka tygodni nie widywano obcych ludzi, za to co dzień pokazywały się zające i sarny w dolinie, a czasami w samo południe wysuwał się z lasu jeleni i gasił w strumyku pragnienie.

Była to pracowita rodzina. Jaksa ścinał drzewo i palił węgle raz tu, raz tam; Jadwigą zajmowała się domowem gospodarstwem i przedtą bardzo pilnie; Franek pasał kozy po stromych górach, a Teklusia dozorowała małą trzódkę mozo z dziesięciu sztuk owiec, które wyganiała na pastwiska po niższych wzgórzach.

Żyjąc w bojaźni bożej, miłości i zgodzie, czuła się cała rodzina bardzo szczęśliwą i nie pragnęła niczego więcej, a dzieciom zdawało się, że na całym świecie nie może być piękniej, jak w ich dzikiej puszczy.

Las i góry wystarczały dzieciom za cały świat. I tu jednakże pod kierownictwem rozumnego ojca i pobożnej matki znalazły widownią wspaniałości Boga. Na widok niskich krzewin jagodowych lub borówek unosiły się wielką radością. Kiedy czasem dzieci znalazły rzadsze rośliny, jak na przykład wonne konwalie lub przepyszne kluczyki, przynosiły je do domu. Wtedy też ojciec miał sposobność pouczyć je o owych kwiatkach, czy są trujące lub nie.

Dla uciechy owych dzieci bardzo mało było potrzeba, gdyż one z gałązki szakłaku pełnej purpurowych jagód, wyglądających niby czworograniaste czapeczki lub z gałązki dębowej pełnej żółtą tkwiących niby w dzbanuszkach, więcej przy ich biedzie miały radości, aniżeli bogatych rodziców dzieci na widok kosztownych błyskotek i zabawek. W kryształowym strumyku, którego brzegi ku nie małej radości dzieci gęsto były obsiane kwiatami, uwijało się pełno prześlicznych rybek, i nie raz na stole Jaksy pojawiła się złocista pstrąga, któraby była ozdobą nawet książęcego stołu.

W pobliskiej dawnej kopalni znajdowały się piękne okazy skamieniałości.

Tu można było widzieć w żółtawej glince najpiękniejsze odciski ziół, liś i kwiatów. Ztąd też Franek bardzo często pasał kozy w tej stronie, a przy tej sposobności wyszukiwał najlepsze okazy, które przynosił do domu i tak z czasem zgromadził sobie znaczny zbiorek. Turyści, zwiedzający od czasu do czasu owe góry, kupowali od niego niektóre z tych okazów, a dobry chłopiec zawsze oddawał pieniądze ojcu z wielką radością.

Franek czuł się najszczęśliwszym, kiedy wieczorem, napędziwszy kozy do obórki, mógł pobiedz w las do ojca i tam w budce z gałęzi zanoćować obok tłącego się kopca. Ztąd można było dobrze widzieć ruiny zamczyska. Kiedy słońce zachodziło i okoliczne sosny poczerniały, wtedy wystająca po nad niemi wieża płonęła jeszcze w pr mieniach słonecznych.

— Ciekawym, — rzekł raz Franek, — jak też to tam w owym zamczysku wygląda. Jak raz będę pasał kozy w tej stronie, to wskrobie się na górę i obejrzę owe ruiny.

Lecz ojciec ostrzegał go i pogroził palcem.

— Strzeż się, Franku, — rzekł, — bo to niebezpiecznem. Mury są już bardzo podupadłe, cała budowa zmurzała, i łatwo mogłoby się stać nieszczęście.

— Lecz zkądto, — pytał dalej Franek, — że taki wspaniały zamek opuszczono i wydano na zniszczenie?

Wtedy ojciec zaczął mu wiele zgrozą przejmujących opowiadać zdarzeń o owym zbrojcy, który tam miał dawniej mieszkać. Z przerażeniem s'uchał Franek, jak ów zbrojca ludzi w okolicy napadał i obdzierał, jako wtedy odławał się najwyuzdańszym zbytkom i jako w końcu przebrała się miarka niegodziwości, gdyż go schwytano, kat ściał mu mieczem głowę, a zamek zniszczono ogniem.

— Widzisz, — rzekł ojciec kończąc opowiadanie — tak to zwykle bywa! Zbrodniarz nigdy się nie osto; jest on podobnym roślinie na murach, która wnet zwiednie i uschnie. Bóg zawsze za złe karze. Gdyby ów pan zamku był żył sprawiedliwie, byłby zamek i teraz jeszcze stał w całej wspaniałości i byłiby

do dziś dnia może mieszkali w nim potomkowie. Ale tak, to z całego zamku pozostała tylko wieża jako pomnik karzącej ręki Boskiej tak na nasze, jak i na późniejsze czasy.

II. Młody lisek.

Pewnego razu past Franek kozy w pobliżu kopalni. Kiedy owe wesołe zwierzątka skubały listki krzewiny, zaczął szukać za skamieniałościami. Naraz usłyszał jakieś osobliwsze skomlenie. Spojrzawszy w jeden z licznych dołów, ujrzał młodego liska, który tam wpadłszy, napróżno się starał po stromych ścianach wygramolić na powierzchnię.

Franek zdjęty litością, wyszukał drąg sosnowy, i po jego sękach niby po drabinie zeszedł na dół, pochwycił zwierzę i wyniósł je do góry. Ucieszony zaniósł lisa do domu, aby go ojcu pokazać.

— O, — zawołała siostrzyczka, kiedy Franek wszedł do izby, — jakiego to ty tam masz dziwnego pieska!

— To młody lisek, — rzekł ojciec, — ledwie kilkomiesięczny. Biedne zwierzę jest bardzo wychudłe i na pół z głodu umarłe.

Teraz chłopiec opowiedział, jakim sposobem go dostał.

— Kiedy tak, — rzekł na to ojciec, — to nie dziw, że nacierpiał się głodu. Z twojej zaś strony jest to bardzo pięknie, żeś nad zgłodniałym zwierzęciem okazał litość i niem się zajął.

Matka przyniosła teraz na glinianej miseczce koziego mleka, które biedne zwierzę natychmiast z wielką chciwością wyjadło i wylizało aż do ostatniej kropli.

— Jeżeli chcesz — rzekł ojciec do Franka, — możesz owego liska zatrzymać i wychować. Wprawdzie przysporzy on nam jednej gęby do jadła, jednakże dla takiego stołownika zawsze jeszcze coś zbędzie.

Lis też regularnie stawiał się w obiadową godzinę, przyzwyczaił się do każdej potrawy, i trzymał się tak domu, jakby on się był w nim urodził. Największym jego dobrodziejem pozostał Franek, który go karmił, a z tego powodu zwierzę się bardzo do niego przywiązało, pozwalało mu ze sobą się bawić, wyskakiwało przed nim, i biegało za nim jak najwięcej obłaskawiony piesek.

Niedługo wszakże wykazała się złodziejska natura liska. Ukradł on matce kurczę i spożywał smacznie w krzewinie po za domem, kiedy go tam naszła. Poczęła więc głośno wyrzekać i wygadywać na złoczyńcę. Ojciec chciał go za to zabić, ale Franek z płaczem prosił o darowanie życia przestępcy.

— Niechżeż więc żyje! — rzekł ojciec, — ale w domu cierpieć go nie będę.

Dnia następnego przybył z pobliskiej wioski kowal, aby zakupić furę węgla. Ujrawszy liska dostał na niego ochotę.

— O, — zawołał, — jakby się to me chłopaki z niego cieszyli!

Ponieważ Frankowi i tak nie było wolno lisa w domu przetrzymywać, przeto go kowalowi podarował. Ten przyrzekłszy, iż mu za to da inny podarunek, z którego się cieszyć będzie, założył liskowi stryczek na szyję i poprowadził go do domu, idąc obok woza z węglami. Biedne zwierzę bardzo niechętnie odchodziło i często się oglądało na zapłakanego Franka, który stojąc na progu domu długo patrzył za wesołym swym ulubieńcem.

— Nie żałuj go! — rzekł ojciec, — jak bowiem sobie zasłużył, tak ma. Złodziejowi należy się stry-

czek na szyję. Gdybyś ty miał kiedy puścić się na złodziejstwo, to pomimo że cię bardzo kocham, wygnałbym cię z domu, a w końcu i stryżek by cię nie minął.

III. Podziemne więzienie.

Nie długo trwało, a Franek zapomniał już o swym lisie i wesół biegł za swymi kozami.

Pewnego razu, chcąc nad wieczorem pognać kózy do domu, spostrzegł, że jednej z nich brakowało. Począł jej więc szukać daleko na około i z wielkim trudem wdrapał się na stromą górę.

— Być może, — rzekł sam do siebie, — że się koza zabłąkała w owe stare zawaliska.

Naraz i jego napadła ochota obejrzeć zwałiska, owe mury, ową wieżę, którym się wszyscy w okolicy dziwili. Wprawdzie przyszło na myśl ostrzeżenie ojca, lecz pomyślał sobie: toć zapewne tak źle nie jest... kiedym tu już jest, toć niech zobaczę.

Z bramy, która dawniej prowadziła do zamku, zostały się ledwie szczątki. Franek błądził pomiędzy omszałymi murami, zwalonymi kamieniami i krzewiną. Całe drzewa, jodły i dęby wyrastały z niezmiernej kupy gruzów. Z podziwieniem przypatrywał się znacznej ogromem wieży, której strącony czubek pokryty był krzakami.

Nie mogąc pohamować ciekawości, wszedł wąską otwartą furtką, w obszerną wieżę. I tu było wszystko zarosłe krzewiną, w koło leżały wielkie omszałe kamienie, a na zwalonych szczytach murów znajdowała się żółta, zeschnięta trawa.

Franek wzdygnął się na widok takiego zniszczenia.

— Mój Boże! — rzekł — ojciec jednak ma słuszość, gdy mówi, że się zbrodniarz nie ostoi, że tak uschnie, jak trawa na owych nagich murach.

Otrząsł się, mrówie przeszło mu po całym ciele i zwrócił się do odejścia. Nagle wszystkie krzaki się poruszyły i skłoniły się ku niemu... pod stopami usłyszal przysłumiony trzask... podłoga się usunęła i kamienie z krzewami zapadły się razem z Frankiem głęboko w przepaść, niby w studnię.

Franek spadł do podziemnego więzienia, z którego zbutwiałem sklepieniem się zarwał. Takie więzienie nazywano w dawnych czasach wieżą lub turmą.

Można się domyślać, że Franek mało co nie umarł z przełknięcia, jednakże żadnego nie poniósł szwanku. Obejrzawszy się poznał z przerażeniem, że po gładkim murze nie wydobydzie się na wierzch. Strach jego śmiertelny powiększył się jeszcze na widok węzów i ropuch, które ukryte w krzaczach i pod kamieniami, zapadły się z nim razem, teraz powychodziły z jam, pełzały sycząc, w koło niego. Od czasu do czasu krzyczał przeaźliwie o pomoc, lecz głos jego napróżno przebrzmiewał pomiędzy wysokimi murami.

Płacząc siedział ze załamaniem rękoma na kupie gruzu, spoglądał w błękitne niebo, które się cudnie odbijało pomiędzy zwieszającymi się krzewami przez rozpadlinę, którą się co dopiero zapadł.

— Ach Ty dobry Boże! — zawołał, — który mieszkasz tam u góry w niebie!... Nikt, prócz Ciebie, nie słyszy mego wołania!... Nikt, prócz Ciebie nie wie, nie widzi, że się tu znajduję!... O, zmiłuj się nademną, nie daj zginąć marnie w tej strasznej, przerażającej jamie!... Przebac, dobry Boże, że nie zważałem na przestrogi mego ojca! Przebac i ratuj! Całe ży-

cie będę odtąd dla mych rodziców pełen posłuszeństwa, a dla ciebie ustawicznie pełen wdzięczności!

Tak modlił się i płakał bez ustanku.

Zaczął się ściemniać coraz więcej, i wreszcie noc zapadła. Na niebie, którego tylko mały skrawek mógł dojrzeć przez szczelinę, mrukała tu i tam gwiazda. Promienie księżycy, wpadające próżnymi oknami wieży i otworem u samej góry, oświecały zczerniałe mury i zmniejszały nieco grubą ciemność.

Ale za to rozległy się po zamczysku jakieś przerażające głosy niby parskania, to znowu wzdychania i przytłumione jęki. Czarne postacie przelatowały wysoko w górze wieży od ściany do ściany. Franek nie mógł wprawdzie wyraźnie ich widzieć, ale to właśnie powiększało jego przestach. Zgrozą przejęty, zamknął oczy, a zimny pot wystąpił mu na czoło. Przyszedł mu teraz na myśl wszystkie historie o strachach i duchach na tem zamczysku, o których nagadali mu parobcy tedy i owedy przybywający.

— O Boże, Boże! — modlił się z głębi duszy, — wybaw mnie! O wy święci Aniołowie Bozcy, dopomóżcie mi i strzeżcie mnie!

W strachu i przerażeniu zesłała mu część nocy. Wreszcie Bóg zlitował się nad ledwo żywym chłopcem i uśpił go smacznie aż do samego rana.

IV. Tęsknota za wolnością.

Biedny Franek ucieszył się niezmiernie, gdy obudzwszy się, ujrzał, że się już zrobił dzień biały. Lżej mu się zrobiło na widok krzaków na wieży oświeconych złotymi promieniami porannego słońca. Lecz na ten widok począł znowu płakać i lamentować.

— O ty dobry Boże! — modlił się, — tyś stworzył tak piękne słońce! Twojem mądrym urządzeniem następuje jasny dzień po ciemnej nocy! W twej też mocy największe cierpienia zamienić w radość i pociechę. O! zakończ mój smutek... i smutek moich kochanych rodziców! Zaprowadź mnie do nich, abysmy się znowu mogli cieszyć wszyscy razem! Ach! cóżby to była za radość, gdybym albo ja mógł wrócić do domu, albo oni mogli przyjść tu do mnie!... Oniby z łatwością dopomogli do wyjścia z tej jaskini... Ale Tobie, Boże, jeszcze łatwiej, a wiem, że Ty mnie kochasz więcej, niż ludzie. O! dopomóż mi do wyjścia z tego straszego miejsca.

Tak płacząc i od czasu do czasu krzycząc o pomoc przepędził poranek. Cisza zaległa w około, tylko wtedy i owedy siadało u góry jakie ptaszę i śpiewało swą wesolą piosnkę. Franek jednakże na ów wesół śpiew smutniał tem więcej.

— Tak — mówił do siebie, — wy zwinne, wesole ptaszęta możecie sobie radośnie wyśpiewywać, bo jesteście wolnymi, a skrzydełka wasze zaniosą was tam, gdzie tylko sobie życycie!... Ach, gdybym i ja miał skrzydła.. natychmiast znajdowałbym się tam u góry i poleciałbym do domu, do mych kochanych rodziców. — Ale czegoż rozpaczam? Wszakże bez wiedzy i woli Ojca niebieskiego nie spadnie z was żaden na ziemię, ani ja też nie wpadłem do tej jamy. Więc kiedy Bóg wie, że się tu zaprzepadłem, musi w tem być Jego wola. On o mnie więcej się przecież troszczy, aniżeli o was wszystkich, a kiedy stara się o was, to i o mnie tu w tej przepaści nie zapomni.

Miotany strachem i rozpaczą nie pomyślał dotąd Franek ani o pożywieniu, ani o napoju. Jednakże, gdy minęła południowa godzina, głód się dostawił. Na szczęście miał Franek jeszcze w swej torbie pa-

sterskiej nieco chleba i sera owczego. Zjadł tylko z tego i z tego po odrobinie, skrapiając łzami każdy kasek.

— Ach! — rzekł smutnie do siebie, — zapas ten niedługo się wyczerpie, a potem będę musiał umrzeć z głodu. Lecz przecież, — pocieszał się znowu, — Bóg, który ptaćw niebieskie żywi, i mnie z głodu umrzeć nie pozwoli.

Teraz Franka poczęło trapić silne pragnienie. Wczoraj już bowiem w czasie parnego popołudnia chciał mu się bardzo pić, a na wieczór tem bardziej. Zjadłszy kawałek suchego chleba i ostrej bryndzy, pragnienie doszło do najwyższego stopnia.

— O dobry Boże, — westchnął, — nie pozwól mi umierać z pragnienia. Ty poisz trawki i kwiecie rosa i deszczem, o, ześlij mi chociaż kropelkę wody!

Przestrach, żal, pragnienie tak go osłabiły, że nie zważając na suwające się węże, położył się na ziemi i oparł głowę na kamieniu.

— Boże dobry! — rzekł ze łzami, — gdybym miał tu już marnie zginąć, to dopuść, abym smacznie usnął, potem u Ciebie w niebiesiech się obudził. Tylko proszę Cię, pociesz natenazca mego dobrego ojca, moją kochaną matkę i małą Teklusię!

(Dokończenie nastąpi.)

O ADWENCIE.

Czas czterotygodniowy poprzedzający Święta Bo-
żego Narodzenia zowie się **A d w e n t e m**. Czas ten
wyobraża ową chwilę długą, bo trwającą 4 tysiące lat,
w której oczekiwano przyjścia P. Jezusa.

W Adwencie wzywa Kościół św. wiernych, aby przez dobre uczynki, modlitwy i posty, przygotowali się do godnego obchodzenia pamiętki przyjścia Zbawiciela na ten świat już spełnionego, oraz na przyjście Jego powtórne w dzień sądu ostatecznego. Z tego powodu przeznaczył Kościół św. już na pierwszą Niedzielę Adwentu Ewangelię o przyjściu Chrystusa Pana na dzień ostateczny, na następne zaś 3 Niedziele Ewangelie o św. Janie Chrzcicielu, poprzedniku P. Jezusa, który przez swoje zbawienne nauki i przestrogi przysposabiał żydów na przyjęcie Zbawcy świata, a które to przestrogi stósują się i teraz do wszystkich wiernych. Ponieważ Adwent przypomina nam ów okres czterech tysięcy lat, przez który żydzi Starego Zakonu wyglądali przyjścia Mesyasa, więc Kościół św., aby wiernym dać uczuć opłakany stan ludzi po upadku i konieczną potrzebę przyjścia Zbawiciela, tudzież, aby nas pobudzić do wdzięczności za łaskę Odkupienia przez życie pobożne, używa w tym celu różnych obrzędów. I tak:

1) Najprzód każe kapłanom ubierać się w szaty fioletowe, opuszcza śpiewy wesole i zaleca wiernym rozmaite umartwienia, jako to posty, zabrania wesel, tańców i wszelkich większych rozrywek.

2) Przed świtem odprawia się przez cały Adwent Msza św. zwana Roratami, bo się zaczyna od słów łacińskich: Rorate coeli desuper, co znaczy: spuśćcie rosę niebios. Słowa te wyjęte z prorocत्व Izajasza wyrażają gorącą tęsknotę Patryarchów i Proroków za Odkupicielem świata, a jako oni pragnęli przyścia Zbawiciela Pana, tak i chrześcijanie pragnąć mają, aby Zbawiciel przybył do

nich z łaską swoją i oczyścić ich z uchybień i błędów. Świeca na środku ołtarza podczas tej Mszy św. wyżej nad inne świece umieszczona, wyobraża Najśw. Pannę. Jako bowiem jutrenka poprzedza światło dzienne, tak Marya poprzedza słońce sprawiedliwości, czyli Jezusa Chrystusa, którego na świat wydała.

3) Od Adwentu rozpoczyna się nowy rok kościelny, bo od przyjścia Pana Jezusa, zaczęły się inne czasy, nastąpiło odkupienie rodzaju ludzkiego, i od tej chwili wziął św. at początek swego odrodzenia i naprawy swych obyczajów.

W czasie Adwentu (8 Grudnia) przypada także: Uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny. Uroczystość tę obchodzi się na podziękowanie Panu Bogu, że przeznaczając Maryą od wieków za Matkę Synowi Swemu, uczynił ją wolną od grzechu pierworodnego już w chwili Jej poczęcia.

Tę uroczystość zaprowadził w Kościele zachodnim czyli rzymskim około r. 1140, Papież Innocenty X, a Papież Klemens XI w r. 1708 wyniósł ją do uroczystości z oktawą i poprzedzającą Wigilią, która wiernym post nakazuje.

Zaś Ojciec św. Pius IX ogłosił Niepokalane
Poczęcie Najśw. Panny za dogmat, czyli
artykuł wiary, dnia 8 Grudnia 1854

W tym dniu mamy najpierw dziękować Bogu za wszystkie dobrodziejstwa udzielone Najśw. Paniencie, a nadto należy odnawiać naszą ufność i pobożność ku Matce Bożej i prosić ją, aby sama będąc wolną od grzechu, raczyła nas w pokusach ratować i bronić przed szatanem, ilekroć nas ~~tenże~~ do złego namawia.

Pacierz syna.

Wśród dni pracy i męczot — wśród powszedniej walki o chleb codzienny i znoszenia ułomności ludzkich, wspomnieniem na wielkie cnoty ludzi dawnych lat, — myśl się rozjaśnia i serce rośnie. Tak miło bowiem jest styszeć o czemś dobrem — pięknem i wzniosłem jak miło wielbić Boga za dobrodziejstwa Jego rozliczne i świat pełen cudów.

Dziś niby poszliśmy naprzód nauką i postępek niby więcej jesteśmy obznajomieni z niejedną wiedzą i mądrzejsi znacznie, ale czyśmy lepsi ktoś powie? A przecież, gdybyśmy starali się silnie i wytrwale o cnoty, zakwitłyby złote czasy w Ojczyźnie naszej i żelaza kajdan opadałby musiały. Ale... zdarza się niestety, że to co dawniej jako cnota zdobiło czoło bohatera, dziś nam wydaje się nieprawdopodobnem lub zbyt trudnem do naśladowania i złąd zawsze dzisiejsze życie nie może nam wydawać się tak pięknem i wzniosłem jak była nią przeszłość miniona.

A jest w niej tyle obrazów podniosłych i tyle chwil rzeźby można świętych, że się do niej wracamy z chęcią lubą i karmimy nią nasze serca.

W zamku wojewody gości dziś co nie miara. Od wczesnego rana suną tam karoce i pojazdy zaprzężone koniami suto strojonymi — jadą rycerze w pozłocistej zbroi i szlachta okoliczna na bryczkach i wózkach mknie tamtędy żwawo.

Nie ma się co dziwić? Wojewoda sprawia dziś wesele swej córce jedynaczce, a wesele to huczne i bogate rozradowuje całą okolicę.

Już wrócono od ślubu — już przy suto zastawionym stole wznoszą się kielichy i huczne wiwaty odzywają się... radość ogarnia serca wszystkich i uśmiech wesela gości na każdej twarzy.

Na każdej?...

O! nie!... sędziwa i osiwiata żona pana wojewody jakoś z twarzą zadumaną siedzi przy stole i ani się uśmiechnie, ani rozweseli. Cóż to za przyczyna?... Czyżby miała być niespokojna o szczęście swej jedynaczki najmilszej? Czyżby trwożyła się o to, czy ten, który jej dziecko bierze teraz w swą opiekę zdoła otoczyć ją tem cichem szczęściem domowem, w jakim ona wzrosła?...

— Biedna matko nie trwóż się!... Młody twój zięć, to człowiek zacny i poczciwy, to szlachetny młodzian, — przemówi do pani wojewodziny matrona o aksamitnym robronie, która śledzi smutek twarzy pani wojewodziny i zda się zgaduje myśli.

Ale wojewodzina odrzeknie na to:

— Odgadujesz Mości Pani Łowczyni, że mię smutek gnębi, ale nie o zięcia mi idzie. Znam tego poczciwego chłopaka i jestem spokojna o szczęście mej córki. Lecz w chwili tej weselnej wspominam mego syna. Przeszło lat dziesięć od tej pory jak z domu wyjechał i zaciągnął się do chorągwi. Król Jegomość wyprawił go gdzieś aż na kresy — hula tam z tatarami i poganami i ledwie od czasu do czasu jakie wieści poda o sobie. Któż wie, kiedy go obaczę? Któż wie, czy on został tam takim jakim być powinien? Niepokoję się o to, czy nie zapomniał mych nauk i dla tego nie mogę być zupełnie wesola...

— Wiwat!... państwo młodzi niechaj żyją!... — ozwały się okrzyki, muzyka zagrała skoczego i wszyscy od stołu, parami idąc poloneza przeszli do komnaty w której taniec polski rozpoczęto.

W pierwszej parze sunie Imci Pan starosta z panną młodą, za nim szeregiem idą pary posuwistym krokiem...

Wtem zabrząkła szabla w progu — jakiś rycerz ogorząły i cały zbroją żelazną okryty stanął w komnacie.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — przemówił donośnym głosem, a pani wojewodzina rzuciła się z okrzykiem:

— Mój synu!...

Poczęły się witania — opowiadania i wypytywania. Z radością wielką dowiedzieli się rodzice, iż syn ich został odznaczony za pobicie wrogów, że król Jegomość mianował go kasztelanem, że osiedzi teraz na zamku nad Dniestrem, a wszyscy goście weselni otoczywszy nowo przybyłego w około, z zajęciem słuchali jego nowin.

Przeszło czasu sporo na tem opowiadaniu. Biedna matka z łzami radości spoglądała na syna, a gdy ten na chwilę przestał mówić, rzekła do niego:

— Wszystko to dobrze, mój synu... cieszy mnie twoje męstwo i dzielność, twe zasługi i łaska u króla Jegomości, ale czy umiesz ty pacierz?

Na te słowa rycerz w żelaznej zbroi ukląkł kornie na środku komnaty, przeżegnał się, złożył rękę i począł mówić w głos: Ojcze nasz, któryś jest w niebie!... odmówił Zdrowaś Marya, Wierzę, Dziesięcioro i inne modlitwy, których go matka nauczyła, gdy pacholeciem u jej nóg siadywał.

Lzy puściły się z oczu tych, którzy to widzieli i słyszeli... a matka zbliżywszy się błogosławiła syna mówiąc:

— Niech cię Bóg błogosławi za to, żeś matki pacierza nie zapomniał. — Ojciec nieznacznie łzę otarł... zrobił krzyż na czole syna i dopiero teraz taniec dalej poszedł — weselość i radość jeszcze większa opanowała wszystkich, a pani wojewodzina dziękowała Bogu za doczekanie tej chwili szczęścia.

Hej! hej!... któryż to z synów dziś zechce tak być posłusznym matce i tak święcie pamiętać o tem czego nauczała?...

Czem syn twój będzie... królem czy panem...

Bogaczem świata, mężnym hetmanem

To mniejsza rzecz — ty się troszcz o to

Czy on paciorek mówi z ochotą.

Nauzcz go szczerze miłować Boga,

A wtedy łatwiej zwycięży wroga.



Nawet szczęścia na sanie nie wzięli.

B A J K A.

Idę raz do Limanowy i patrzę, a tu furman staje, wychodzi z wozu, idzie przed konie, rzuca kapelusz na ziemię i przejeżdża przez ten kapelusz; wraca potem, bierze ze ziemi kapelusz, wdziewa na głowę i dalej jedzie. Pytam się go, co to ma znaczyć, a ten mówi: — Czyście nie widzieli, że zając drogę przeleciał?

Więc naśmiałem się z tego i przedstawiłem mu, że to zabobon, ale widać było po jego minie, że mi nie dał wiary.

Ojciec zaś mój lepsze jeszcze opowiadali zdarzenie. Kiedy byli chłopakiem, to w onych czasach było w naszych okolicach mnóstwo wilków. Nieraz te potwory podkopywały się do stajen i zagryzały barany, cielecia i co się tylko dało. Więc niedaleko od nas jeden gospodarz (już pomarł) wczas rano wstaje, budzi parobka i mówi:

— Wojtek! napaś konie, bo pojedziemy do lasu.

Wojtek konie napaś, zaprzęgnął, wsiedli z gospodarzem na sanie i wio do lasu. Jak do dziś dnia, droga jest koło domów, jadą nią, a tu kobieta idzie po wodę z konewkami i przeszła im drogę. Gospodarz mówi do Wojtki:

— Wiesz co? stanijno!

— A cóż? — mówi Wojtek.

— Wróćmy się.

— Dla czego?

— Nie pojedziemy, boby się nam dzisiaj nie dażyło.

Więc dobrze, Wojtek wrócił i przyjechali próżno do domu.

Na drugi dzień budzi Wojtki gospodarz wcześniej, aby napaś konie, bo pojedą do lasu. Wojtek napaś konie i wcześniej niż zwykle wyjechali z domu. Już byli niedaleko lasu a tu zając przelatuje im drogę. Gospodarz woła na Wojtki:

— Widzisz! lepiej się wrócić, bo to pewne nie-szczęście, gdy zając drogę przeleci.

— Wczoraj baba, dziś zając, — mówi Wojtek — Będziemy tyle mitrzyć?

— Co tobie do tego — mówi gospodarz — ja ci każę, to wracaj! Lepiej być ostróznym, niż wpaść w jaką okazyję.

— Mielibyście narzekać — mówi Wojtek — skróć mnie, żeście wpadli w nieszczęście, to wróćmy.

I znowu przyjechali do domu próżno.

Na trzeci dzień, bo drzewo się w domu wykończyło, trzeba było koniecznie do lasu jechać. Wojtek napisał konie i obydwu z gospodarzem pojechali. Już do lasu wjeżdżają, a tu przez drogę przelatuje wilk. Wojtek mówi do gospodarza:

— Ej, gazdo, mnie się widzi, że to jest prawdziwe nieszczęście, drogę nam przeszkodziło.

— A widzisz, — powiada gospodarz — dzisiaj to mamy szczęście, ja już dawno o tem słyszałem, że to zwierzę, to wróży prawdziwe szczęście, jak się z nim kto spotka.

— Ja radzę — mówi Wojtek — abyśmy się do domu wrócili.

— Jak ci mówię, że szczęście — powiada gospodarz — to szczęście, jedź i kwita

Zajechali w las, konie parobek odłożył, dał im siana, obydwu poszli w las, aby drzewo pościąć i włożyć na sanie i wrócić szczęśliwie do domu. Gdy pościć, gospodarz mówi Wojtkowi:

— Idźno i zajrzyj, czy się konie nie powikłaly.

Idzie on Wojtek, patrzy się na konie, a tu przewrócone obydwu; jeden nawet do góry nogami leży, a wilk w jego kapturze uwija się zażarcie. Leci Wojtek do gospodarza i woła:

— Gazdo, gazdo! dawajcie siekiery i chodźcie prędzej, bo szczęście weszło do środka konia jednego i żre!

Gospodarz łap za siekiere, parobek dorwał drugiej, wyprzedził gospodarza i wprost napada na zajądłego wilka i zabił go w koniu.

— No, gospodarzu — powiada — mówiliście, że to szczęście, to je teraz macie; zabiłem wam szczęście, ale wy konia nie macie

Drugi koń był powikłany i ledwo że się nie uduślił, szczęście tylko, że Wojtek poprzeczynał postronki. Przywlekli się próżno do domu, bo gospodarz nie chciał nawet szczęścia zabitego wiać na sanie.

ZADANIE.

Na całym świecie jam potrzebna bardzo,
Bo żywie ludzi — leniwczy mną gardzą.
Człowiek zaś co mnie polubił od młodu
Nie zazna nigdy nędzy ani głodu.
Jeżeli nikt dotąd odgadnąć nie może,
To objaśnienie wam je: zcie dolożę:
Bez pierwszej z początku litery
Kiedy tylko mam głosek cztery,
Wystrzelam w górę sypiące iskry jasne,
Ale po chwili wnet w ciemności gasnę.

Rozwiązanie zadań w Nr. 10:

1.

Czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży,
a całość sama się złoży.

2.

OKOLICA.

Dobro rozwiązania obu zagadek nadesłali: Józef Jasik z Blechówki; Józef Markiton z Pawłowie; Augustyn Glasowski

z Bytomia; A. Lubecki z Białej; Józef Kosmol z Glinic; Józef Tomik z Trynku.

1-wsze zadanie rozwiązał: Gabryel Franik z Rachowic; Jan Szymek z Bogucic; Józef Knop ze Zabrze;

2-gie zadanie rozwiązała: Albina Rasek z Ujazdu; F. Kruppa z Winar.

OGŁOSZENIA

Müllera patentowane
i prawdziwe akordowe cytry,
w godzinie nauczy się każdy grać
bez nauczyciela i znajomości nut.
instrument przepyszny (nowo po-
prawiony) I 3 m., II 4 m., III 5 m.
do 40 m. Obrazek dar. i fr. (B 4890
A. Müller, Musikhaus, Hanover.



Baczność!

Za tylko 6 mk.
przesył. za za-
liczką pocztową
moją wszędzie
za najlep. uzną-

Z NIWY ŚLĄZKIEJ.

Wiersze Czesł. Lubińskiego

2 tomy w jednej książce 320 str.

Cena za egzemplarz:

nieoprawny 1,00 młk.
oprawny 1,50 „
eleg. oprawy w płótno 1,80 „

Na porto uprasza się dołączyć
20 fen. — Za nadesłaniem należy-
tości w znaczkach pocztowych
przesyła odwrotnie

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Kanarki!!!
Roszyłam pocztą mych
znakomitych śpiewaków o
wyrobionym głosie do
wszystkich miejscowości

Europy, pod każdą gwarancją.
Podług zdolności śpiewackiej sztuka
po 9, 12, 15, 20, 25 i 30 marek.
Cenę nadesłać lub zaliczką poczt.
**Julius Hüger, St. Andreas-
berg (Harz),** hodownia szlache-
tnych kanarków, założ. 1864. Pre-
miowana pierwszymi honorowemi
nagrodami: wystawa w St. Andreas-
berg 1893 otrzym. znowu nagrodę
honorową i najwyższą miedzią,
srebrny medal. B 1613

Nowe! Pat. cytry (nowo popra-
wione). Rzeczywiście ka-
żdy może się w 1 godz. podług najl.
szkółki bez naucz. i bez znajom. nut
nauczyć grać. Wielkość 56x36 cm.
22 struny, robota ładna i trwała, ton
prześl. (Instr. eleg.) Cena tylko 6 m.
zo szkółką i wszystk. przynależz.
Cennik darmo. O. C. F. Mlether,
fabr. instr. Hanower A. Handlarzy
poszukuje wszędzie. (B3968)

Panie, któreby za wy-
soką prowizją
choiały się podjąć sprzedaży w
paczkach odważonej herbaty fir-
my **E. Brandsmu,** uprasza się,
aby się zgłosiły do filii dla Nio-
miec: **E. Brandsmu, Kolonia**
(Köln a. Rh.) (MK 3344)

Tylko za 5 młk.



przesyłam śliczną
koncertową
harmonikę
do ciągnięcia

z otwartą niklową klawiaturą, 10
klawiszami, 20 podwójn. głosami,
2 basami, 2 rejestrami i podwójn.
miechem. Wszystkie rogi fałdów
michowych są blachą okute, wsku-
tek czego instrument bardzo trwa-
ły. Główna i miła, ślicznie brzmiąca
muzyka. — Prawdziwa wartość
harmoniki 8—10 marek. Wysyłka
za zaliczką pocztową albo poprze-
dnem nadesłaniem pieniędzy. Za-
pakowanie darmo, porto 80 fen.
Żadna konkurencja nie jest wsta-
nie podobnego instrumentu taniej
i lepiej dostarczyć. [H&V]

Wilhelm Pickhardt,
Werderh (Westfalia).

**Dom z budynkami gospodarczymi,
ewentualnie i polem na ogród**

oddamy każdemu na własność (H&V)
bez wszelkiego wliczenia kapitału
tylko za opłatą procentów. Ustawy itd. wysyła się za 1 markę.

**Śląski związek budowniczy
w Kluczborku G.-Śzl.**